Do braci Kapłanów.

KRAKÓW. — 1906.

Do braci Kapłanów.

Kraków. 1906. — Nakład M. Jastrzębca.

Zbudźmy się—powstańmy.

Zadługo trwał sen nasz—i odrętwienie nasze.

Oprzytomnieć czas.

Oto świat cały się wtrząsa w posadach i grzmoty podziemne drżeniem złowieszczem poruszają ziemię.

Oto państwa się chwieją — oto upadają trony.

Oto w gruzy sypią się odwieczne instytucje.

Oto inni nastają dziś ludzie — o innych myślach i o innej mowie nastają — by nowe rozpocząć życie, i nową stworzyć historyę.

Oto światy wstają nowe, oto świt się rumieni od jakichś zórz olbrzymich, co zaległy niebo i jakieś dziwne, wielkie i promienne bardzo głoszą słońce.

I w duszy ludzkości wzbiera coś, rodzi się coś nowego, czuć budzenie się sił nowych, sił twórczych, jak w roli, gdy wiosna nastaje.

Bieg świata się zmienia, przełom się dzieje, jakiego dotąd nie znała historja— rewolucja nie polityczna tylko, nie społeczna, i nie w tym tylko lub innym narodzie, ale rewolucja świata, świata ducha, — i świata myśli, — i ludzkości w całym jej ogromie.

Aż świat fizyczny to odczuwa, bo jakaś jakby trwoga czuć się daje we wszechświecie i o trzęsieniach ziemi piszą wciąż — i katastrofy dzieją się dziwne—i straszne.

Wszystko teraz w ruchu, jakby ocean jakiś olbrzymi, co tknięty tajemniczem tchnieniem, burzy się, wzdyma, wstrząsa,—za chwilę zahuczy ogromem, wód swoich,—i jak długi i szeroki szarpać się będzie — i pienić, w wysiłkach olbrzymich.

A pośród tych olbrzymich świtów,— i tych dziwnych ogni jakiegoś wschodu dziwnego,

I pośród tej trwogi, — i tych wstrząśnień świata,

I wichrów nowych, — co poruszyły ocean wszechświata —

Co my czynimy, Kapłani?

My słudzy Boży?

Niegdyś już dawno — wśród wzburzonych wód Genezareckich i wśród ję-

czenia, i szumu fal spienionych, na nikłej łódce rybackiej, w otoczenin uczniów strwożonych — spał Jezus — spokojny i cichy.

Ale kiedy czas nadszedł — On powstał na głos uczniów,

I wszechwładnym swym głosem zgromił morze—i wichrom pogroził;

I one opadły—i morze legło w spokoju.

On spoczywał — ale uczniowie czuwali.

Ale oni widzieli, co się dzieje — oni zdawali sobie sprawę z położenia,

I oni zbudzili Jezusa.

Dzisiaj inaczej.

Dzisiaj my śpimy — a jeśli nie śpimy — to bodajbyśmy spali, bo mącimy tylko. To rzucamy się tu i owdzie bezmyślnie, nieprzytomnie, powiększając jeszcze zamięszanie i niepokój, albo stoimy, nierozumiejąc, co się dzieje, nie widząc nic, ni fal tych spienionych, — ni wichru nie słysząc, ni śmierci co grozi nie uważając,—i troszczymy się oto, by załoga łodzi nie odstąpiła w niczem od zwykłego trybu, by każdy w ruchach, w mowie, w pracy zachował zwykłe przepisy; by w swoim czasie, i w zwykły sposób jedzenie podano i jeśli o co

nam idzie, to czy kto nie krzyknie za głośno, walcząc z falą, co się wdziera do środka, czy, że nie w należytej pracuje postawie.

A jeśli kto z nas w trwodze woła do Chrystusa, że giniemy—to w zaślepieniu dziwnem i szaleństwie—woła wprawdzie, by fale opadły,—ale uparcie woła także, by wichry zostały—by wiały zawsze tak samo, nie wiedząc, że te fale, to wszak od wichrów powstały.

W Chrystusie moc najwyższa — On nie mniej mocen teraz, jak wprzódy. *Kiedy On stanie nad światem wzburzonym i ręce swe wyciągnie po nad nim — i rzeknie słowa pokoju — pokój się stanie.*

Ale naszą rzeczą—by *On zeszedł ku nam,*

By On zajaśniał wśród nas,

Pośród ciemności tych strasznych,— i tych wichrów co jęczą, — i fal tych wzdętych co huczą.

By pokój Jego spłynął na świat cały,

Jak rosa poranna,

Cicha i jasna.

By duch Jego zstąpił pośród nas.

Bo duchem Jego — stworzone jest wszystko, i duchem Jego tylko — odnowionem być może.

Duchem Chrystusowym.

Więc ducha, — ducha Chrystusowego potrzeba.

Ducha Jego potrzeba światu,

Tego ducha potrzeba ludziom.

I ludzkość niespokojna — i ludzkość udręczona,

Bo ducha Chrystusowego niema pośród świata.

Imię Jego jest jeszcze tu i owdzie,

Imienia Jego nadużywają wszyscy,

I w znaki Jego się stroją — i symbolów Jego nadużywają,

Nieraz, zbrodniczo i świętokradzko.

I mówią o Nim i powołują się na Niego, za często nawet, a wtedy najczęściej, gdy Go chcą na nowo krzyżować,

I chwalą go niby.

Ale ducha Jego niema.

A światu nie tyle Imienia Jego potrzeba, które sprofanowano obłudnie je używając,

I nie tyle symbolów Jego, — których używać śmią nieraz, jako nagrody za zbrodnie,—i któremi przykryć się starają bezeceństwa i obłudę,

I nie tyle form na cześć Jego, —

Ile ducha,—ducha Jego.

A tego nikt światu nie daje,
Ani dać chce.

I kona świat stary, wśród wstrząśmień i trwogi,
I rodzi się świat nowy, — pośród krwi odblasków,
I strasznych ducha konwulsji,
Ale się narodzić nie może,
Aż się wszechświat szamoce w boleściach.

I ludzie szaleją z trwogi lub wściekłości,
I nie wiedzą, co czynić.

A duch Chrystusowy—sprowadził by pokój.
I sprawił, że świat ten nowy — zrodziłby się w jasnych złotych słońca promieniach.
I ludzkości stałby się rajem.
I my byśmy tego ducha ukazać powinni ludzkości;
A my?
My czem zajęci?

Albo bytem swoim i wygodami swemi i filisterskiem życiem i egoistycznemi sprawami.

A jeśli nie—to troską, by nasze klasowe, duchowieństwa się tyczące interesy w zamieszkach i przewrotach świata nie ucierpiały, owszem by zyskały,

By władzę zyskać większą i wpływy, Niby dla dobra kościoła.

Albo zabiegamy—o formy i obrzędy, By ludzie nie złamali postu, — i by brackie odmówili pacierze.

Albo wpadamy w wir walki partyjnej, —

Chrystusa wciągamy do sporów ulicznych, — i wiekuistą prawdę poniewieramy w brudach partyjnych intryg.

Chrystusem osłaniamy brudy i prywaty partyjnych interesów,

I narzędziem się stajemy cudzych niskich bardzo robót,

Albo niebaczni i ślepi,

Niby to broniąc Chrystusa — krzyżujemy Go sami, sprzymierzając się z tymi, co narody krzywdzą, i lud wyzyskują.

I słudzy Najwyższej Miłości — i słudzy Chrystusa—w rzędzie stajemy potęg ciemnych, co szczęście tłumią ludziom— i w otchłaniach ciemności i hańby trzymają ludzkość wraz z carem — katem, żandarmem, nahajką.

Świat zwraca się do nas, by światło Boże otrzymać—czyste, nieskalane świa-

tło, by ducha orzeźwić, by go oczyśćci z brudów ludzkich egoizmów, by go pokrzepić,—by w niebo go podnieść, —

Ten świat zmęczony sceptycyzmem, skołatany zawodami, rozczarowaniem zmęczony.

On ręce wyciąga,—bo głód czuje, — głód prawdy Bożej, — i jakiegoś dobra wielkiego—i ideału nieskalanego brudem żadnym, bo pożąda światła — światła — jasnego, ogromnego światła.

On oczy zwraca ku nam, stęsknione i łzawe, jak do tych, co Boga bliżsi, więc prawdy, dobra, światła i miłości,

I co powiedzą słowo od Boga natchnione.

Słowo, „które światłem i żywotem będzie“,

I co Boga poznać dadzą, którego świat pomimo wszystkiego poznać pragnie i mieć pragnie, —

I co pośród ciemności strasznych ducha, drogę wskażą pewną,

I pośród walk i trwogi,—i zgrzytów nienawiści i jęków rozpaczy—słowa powiedzą pokoju,

I pośród smutków, udręczeń, zawodów—pociechą ukoją.

I ku nam oczy zwraca, jako do tych

także — co nieustraszeni, niewzruszeni niczem,

Bogiem silni, Jego prawdą potężni— duchem Bożym niezłomni,

Kłamstwo — nazwą kłamstwem — i podłość podłością.

I wielkim i możnym—i panom i królom powiedzą prawdę—straszną nieraz,

Co jak grom ich wstrząśnie.

Nieulęknieni nigdy, bez obaw i trwogi.

I jako do tych zwraca na nas oczy,

Co się ujmą za krzywdą;

Co wzorem Chrystusa — ulitują się nad rzeszami—bo głodne, —

Co się zastawią za te rzesze wielkie—wzgardzonych, bezdomnych, skrzywdzonych, którym źle, — i którzy płaczą.

I co wobec świata całego, naprzekor wszystkim faryzeuszom i obłudnikom i fałszywym przyjaciołom i krzywdzicielom

Powiedzą „nie godzi się tak“ — non licet.

I co zbrodnię nazwą zbrodnią — i obłudę — obłudą,

I kłamstwo kłamstwem—i podłość— podłością,

Bez wzgędu na to, gdzie on, ten zbrodniarz i kędy zbrodnia.

Co nie o drobne tylko spierać się będą usterki — ale co wskażą zbrodnie

wielkie i o wielkie nad miljonami krzywdy się zastawią,

I zbrodniarzy wskażą,

Chociażby w złotych byli koronach.

I w otoczeniu miljonowych armji.

I co na krzyż pójdą za prawdę jak Chrystus.

I co na mękę się wydadzą za braci— jak On.

I co umrą — by świadectwo dać, że pasterzami są, co wraz z owcami cierpią, i dla owiec cierpią, i dla nich życie położą z radością.

I co ojcami są naprawdę — duchem i sercem,

Że żyją dla innych tylko, że wszystko dla innych w ofierze złożyli.

I serce swe zwraca świat ku nam,

Gotów kochać Boga — gotowy Go słuchać,

Ale w nas chce go poznać i w słowach naszych go odczuć — Boga — tę wielką olbrzymią ludzkości tęsknotę.

A my, bezduszni sami.

Na te wszystkie wołania ludzkiego ducha, odpowiadamy formułkami zatęchłych średniowiecznych książek,

I mówimy mu o suchych bez ducha praktykach.

I bez myśli powtarzamy wyrazy, pełne treści, ale, których zastosować nie umiemy do czasów tych, — bo czasów nie rozeznajemy — ani tych słów nie pojmujemy.

Albo mu rady dajemy marne i nędzne—i bezduszne—jak sami jesteśmy.

I Boga, Tego Boga, za którym świat tęskni,

Przedstawiamy mu takim małym, ciasnym, marnym,

Że świat z niesmakiem, — z zawodem — z rozczarowaniem odwraca się odeń,

I w rozpacz wpada.

Przedstawiamy mu Boga, sprzymierzeńcem zbrodni, sojusznikiem tyranów, wspólnikiem krzywdzicieli,

Wrogiem wszystkiego, co wielkie i piękne i wzniosłe,

Boga więźniów i niewolników spodlałych— nie ludzi,

Boga tyranów i ciemięzców — a nie wolnych i sprawiedliwych.

I wobec ludzkości, jako przedstawiciele takiego Boga stajemy,

I w imię takiego Boga przemawiamy zazwyczaj,

I językiem takiego Boga godnym,

I wedle takiego Boga sądzimy o wszystkiem.

I potępiamy nieraz to co najwspanialsze,
I gromy ciskamy na tych co najlepsi,
I wespół z ciemnemi potęgami świata
Tłumimy często bardzo najlepsze wysiłki,
Co do szczęścia dążą świata.
I jasne marzenia, co ludzkości świecą,
Jak gwiazdy złote pośród cieniów świata,
Jak zorze różane — po burzliwe nocy
Gasić się staramy.

O i my tak często,
My sami prawie.
I życiem naszem tak dalekiem od życia mężów Bożych,
I słowy naszemi, w których brzmi dusza nasza nędzna i licha,
I uczynkami naszemi — godnemi służalców i niewolników ducha,
I sposobem przedstawiania Boga,
I czynem każdym — i uczynkiem co z nas jest,
Zohydzamy wiarę—obrzydzamy wiarę—rujnujemy Kościół.
I tę najwyższą ludzkości zrobiliśmy krzywdę,
Żeśmy jej zohydzili Boga

I ludzkość rzuciliśmy w otchłanie rozpaczy.

Bracia Kapłani!

Opamiętajmy się, przestańmy.

Jesteśmy sługami Boga,—co Ojcem Wszechludzi, —

Więc sługami ludzkości.

Kościół — to ludzkość cała, wszyscy ludzie — co prawdę kochają — co do prawdy dążą.

Więc *dobro ludzkości jest dobrem Kościoła.*

Pracujmyż dla ludzkości.

Poślubmy wszystkie sprawiedliwe dążenia jej—i słuszne żądania,

Zwalczajmy krzywdę — wszędy gdzie jest ona,

Walczmy o sprawiedliwość, gdziekolwiek ją gwałcą,

Bądźmy wszędy, wszędy, gdzie idzie o sprawy ludzkości,

Ale z duchem Chrystusowym wszędzie.

Jako słudzy Chrystusa — jako dzieci Jego serca i ducha,

Jako stróże odwiecznych prawd Bożych—wiekuistej prawdy.

Nam przystało rycerzami być o najświętsze sprawy świata.

Temi szaleńcami wielkich ideałów, które Chrystus podstawił przed oczy ludzkości.

Nam przystało walczyć o nie, z poświęceniem bez granic, z zapomnieniem o sobie, z gotowością na krzyż — jak Chrystus.

Nam przystało trwać przy nich, chociażby wszyscy ich odstąpili—chociażby wszyscy zapomnieli o nich;

Nam nie wolno sztandarów najświętszych ludzkości opuścić nigdy.

I podnosić je ciągle powinniśmy przed oczyma świata,

I wzywać ku nim wszystkich.

Nam trwać przy nich — lub zginąć.

Miłość ogólna, — braterstwo wszechludów, wolność co z miłości płynie, wolność, dla wszystkich, — sprawiedliwość — Królestwo Boże na ziemi.

To hasła przy których nasze miejsce, bez względu na wszystko. Królestwo prawdy najwyższej, dobra bez miary, piękności Bożej, miłości najwyższej, sprawiedliwości prawdziwej dla wszystkich, szczęścia o ile ono możliwe na ziemi—to cel nasz,—to pragnienie nasze.

To kres, który ludzkości ciągle wskazywać nam trzeba.

Chociażby wszyscy zatonęli w błocie egoizmu, lub w mętnych toniach inte-

resu,—chociażby wszyscy zwątpili o tryumfie prawdy, chociażby wszyscy uwielbili siłę i cześć oddali brutalnej przemocy,—

Nam tego nie wolno.

Nam zwątpić nie wolno, nam się zniechęcić nie wolno, — ani we wszechmoc siły brutalnej uwierzyć, — ani egoizmowi czci oddać nie wolno.

Jak Boga nie wolno odstąpić — prawdy i piękna.

Ani bałwanom dać hołdu.

Ani w miłość wiary stracić—bo Bóg to miłość.

I chociażby wszyscy się ukorzyć mieli przed siłą pięści, czy bagnetu,

I cześć oddać niewolniczą tyranom,

I za słuszne uznać to — co niesprawiedliwe,

Nam tego nie wolno.

Ani stróżami być tronów, jeśli nie na dobro są ludów,

Ani obrońcami bogactw, co z łez i przekleństw nędzarzy zebrane,

Ani dozorcami więzienia, w które świat dziś zamienili ludzie,

Ani chwalcami pogańskich porządków i urządzeń, które sprawiedliwości Bożej urągają.

My królestwo Boże ukochawszy sami,

Nieskończone ideały poślubiwszy sobie,

Do tych ideałów ludzkość podnieść się starajmy,

W te blaski ją wieść, — jasne i jaśniejsze coraz, i coraz bardziej promienne, coraz bardziej słoneczne, aż się w blaski wiekuistej przemienią Ojczyzny.

W te mgły złote, złotej przyszłości, bez kresu.

My ludzkość całą ogarnąwszy sercem,

W sprawiedliwości wiecznej zapatrzeni twarz,

Przeciwko krzywdom ludów wznieśmy protest wielki,

Wielki jak świat,—wielki—jak krzywda ludów wielką jest,

Wielki, jak cierpienia i ofiary, co z tej krzywdy płyną.

My prawdą silni Bożą i na Bogu wsparci,

Na tym Bogu, co wznosi i druzgoce trony,

Na tym Bogu, co światy stwarza jednem słowem i gasi gwiazdy złote, by je znów rozsypać po lazurach niebios,

Podnieśmy głos nasz wszędy, gdzie jest ucisk ludów, gdzie nikczemne prawa, gdzie podeptana sprawiedliwość, gdzie niewola panuje i ucisk.

Bez trwogi i lęku.

Bo moc sprawiedliwości — i potęga prawdy—silniejsze niż przemoc.

My przed króle idźmy—i przed sędzie niecne,

I przed urzędy — tam gdzie prawa tworzą złośliwe —

Jako posły prawdy i sprawiedliwości.

I okrzyk wznieśmy zgrozy coby ludzkość wzruszył

I wstrząsnął nią do głębi,

Na widok zbrodni tych strasznych, co bezkarnie pośród milczenia świata i ogólnej trwogi popełniają silni,

Na widok tych szubienic, co dźwigają ciała męczenników za sprawę ludu,— i tych więzień ciemnych, pełnych ludzi, co sprawę Bożą poślubili, bo sprawę ludzkości — i smutnych procesji co na Sybir dążą, procesji, w których muzyką brzęk kajdan, a śpiewem—jęk i gorzki płacz,—procesji męczenników idei.

Bośmy słudzy Pana,

Pana, co sądzi możnych i potężnych,

Co miłościw na nędzne — co tkliwy dla dziecka,

Co się wzrusza płaczem sierot — westchnieniem niewiasty.

I na ptasząt smutne kwilenie uważa,

Ale straszny dla tyranów i ciemiężycieli.

I ukochawszy tych wszystkich, co płaczą,

Myśmy poślubić winni sprawę biednych wszystkich, wszystkich których krzywdzą, wszystkich tych bezdomnych, wzgardzonych, bez dachu i chleba, bez Ojczyzny i Boga,

Tych, którymi gardzą.

I tych, co doprowadziwszy ich do zgorszenia i do nędzy ducha, karzą potem krwawo—

Tych miljonów, dla których niema światła, niema szczęścia, niema prawa —

Jest tylko nędza i wzgarda.

Tych co zrodzeni w nędzy, — nędzą żyli, nędzą zwyrodniali, i z nędzy giną.

I tych także miljonów, co w bezmyślnej pracy, pędzą życie całe — jak żywe machiny na korzyść bogaczy,

Którzy prócz znojów i fabrycznych dymów, huku maszyn — nic nie mają w życiu,

Których ustrój obecny na bydlęta zmienił,

By korzystać mogli inni—

I z nędzy ich i potu i łez krwawych, używać rozkoszy.

I bydlęcieć w rozkoszach, zdobytych bez pracy i trudu.

I te dzieci także Chrystusowem ogarnijmy sercem, co nie mają ani ojca ani matki — ani słowa prawdy — ani zasad dobra;

Których światem całym, zgniła suteryna — i pełna wyziewów półmiejska ulica,

I te „Magdaleny" i te pogardzone, co z nędzy, ciemnoty, zepsucia, zgorszenia — idą na rozpustę — i giną w niej młode, weseląc się niby, radując z swej hańby, których losem zgnicie, i które zgnilizną swoją zarażają innych.

I wszystko razem ogarnąwszy sercem,

Wszystkie te męki piekieł naszych czasów,

Ludów i ludzi—i starych i dzieci.

Niewiast i nędzarzy,

I wszystko razem łzami opłakawszy —

Jak ci co za „miljony cierpią".

Wystąpmy śmiało obrońcami ludu.

Tych maluczkich, których wszak Chrystus ukochał.

Tych, którym „nowinę dobrą" przyniósł, a którym tę nowinę dobrą odebrano.

I którym, z Chrystusowej nauki—nowe ukuto kajdany;—

Obrońcami ludu, wobec rządów co krzywdzą—

I wobec tych warstw, co w egoizmie swoim lud wyzyskują.

Obrońcami ludu co cierpi,

I którego krzywda od lat już tylu — o pomstę woła do Nieba—do Ojca maluczkich i uciśnionych.

Obrońcami ludu, który znieprawili i zwyrodnili,

A który na chwałę Bożą też stworzony.

I ukochawszy sercem wielkiem wszystkich tych, co płaczą,

Bez względu gdzie są i kim są,

I grzesznych wszystkich — zasmuconych wszystkich,

Tych co upadli, i w kajdanach złego.

I sercem zmierzywszy otchłanie bólów ludzkich i tęsknot ogromnych, i pragnień niezaspokojonych nigdy,

I ogarnąwszy łzy wszystkie, i te co z oczu płyną, i te bardziej gorzkie jeszcze, co w sercach tają, i płaczą w duszy głębinach,

I walki, i męki ducha, i szamotanie się i rozdarcia serca,

I ból wyczuwszy, ból co krwawi w głębiach ludzkiego ducha,

Pociechę dajmy Bożą,
Tęsknot uciszenie,—
I łzy te osuszmy—
I ból ułagodźmy.

Wskazując ludziom Boga,
Ale Boga, co ma serce Ojca.

Boga, co kocha, — co współczuje światu i ma serce ludzkie,

Boga wielkiego, — mocy i miłości.

Boga, którego Imię — „przebaczenie i miłosierdzie“,—

Boga, którego ukochać można naprawdę i w niego uwierzyć.

Nie Boga tyrana,—o którym mówimy zazwyczaj,

Boga, co w okrucieństwie przeszedł wszystkich Królów.

Boga, co myśli jeno by potępić—co za najmniejszą słabość ludzką, za myśl jedną, za jedno westchnienie, zapomnieć umie o wiekach poświęceń, — i wtrącić w otchłań ognia i wymyślnych katusz.

Boga klątw i zemsty—
Piorunów i ogni.

W którego świat uwierzyć dziś nie umie—i może słusznie, że nie wierzy—bo wiara w takiego—to bluźnierstwo.

I drogę wskażmy, co do Boga wiedzie — do tego Ojca naszego i Ojca świętości,—

Drogę — by zaspokoić serce i te żądze ducha, te pragnienia wielkie serca,

Drogę po której idąc — rośnie się duchem, potężnieje sercem;

Sposób by wznieść się wyżej i złączyć się z Bogiem — i duchem Jego się przejąć,

A nie—parafrazę bezdusznych przepisów, i pustych formuł, co zabija ducha i zatruwa serca,

I faryzeuszami czyni ludzi — nie ludźmi.

I miłość głośmy wszędzie, jako sługi Boga — co się zwie miłością,

Ale nie tę obłudną, co ma być tylko uświęceniem krzywdy, i zapewnieniem— by krzywdziciele spać mogli spokojnie—

I dalej krzywdzić bezpiecznie,

Ale tę miłość—co do ofiar idzie, co krzywdę nagradza, co świat cały w braci serdecznych przemienia.

Miłość, co przyjdzie na świat jak jasny poranek,

W uśmiechach kwiatów i w zapachach polnych,

I w blaskach złotych,

I w ciszę świat cały otuli.

Co broń morderczą z rąk ludzkich wytrąci,
Co więzienia skruszy i forteczne mury,
Co zwali szubienice i gilotyn żelaza połamie,
I w raj zamieni ziemię,
A ludzi—w aniołów.

I pokój głośmy, — ale pokój co da szczęście, pokój co płynie ze sprawiedliwości;

Pokój—co owocem wykonania tego, co wykonać trzeba.

Nie—pokój w złem i zbrodni,
W szale i błocie,
W krzywdzie i obłudzie,—
Pokój — co usunięcia złego jest nagrodą.

I poświęcenie głośmy słowem i przykładem,

Bo teraz wśród nas niema męczenników,

A kapłan—synonimem być by powinien męczennika.

Inni—ci, których wyklinamy — umieją cierpieć za ideały święte

Ale nie my.

Nas szubienica trwoży, nas więzienie straszy,

Nas już śmierć nie uraduje, jak niegdyś Chrystusowych wyznawców.

Co dla ludzkości, co dla szczęścia ludzi, co dla dobra braci,

Co jaśniejszem uczyni dziś, bardziej promiennem jutro dla świata,—

To dla Boga—to dla Kościoła,

To czynić nam potrzeba — oto zabiegać,

My jako słudzy Kościoła — sługami ludzkości,

I szczęście nasze—w szczęściu wszystkich ludzi.

Nie urzędnikami bądźmy—nie inkwizytorami — nie faryzeuszami,

Ale mężami bożymi, ale uczniami Chrystusa

W duchu i prawdzie.

Niech w nas świat pozna Chrystusowego ducha,

Niech w słowach naszych zabrzmi duch Chrystusowy,

Niech w sercach naszych odczuje potęgę Chrystusowej miłości.

Ukażmy światu Chrystusa.

Niech duch Chrystusa stanie pośród świata,

Jak wtedy, ponad spienionemi falami jeziora stanął Chrystus,

Kiedy trwożni wołali nań uczniowie.

Niech wśród różanych świtów przyszłości i czerwonych zórz jutra,

Ten duch jedyny, promienny, czysty i cichy się ukaże,—

I niech wichry uśmierzy, i fale u stóp swoich położy—

I burzę uciszy—co wstrząsa ludzkością,—

I ukoi wszystko, w bratnim uścisku miłości—

W miłości prawdziwej, co ludzkość w jedną przemieni rodzinę,

I tą miłością rozstrzygnie wszystko.

A ufni w Panu — ufni w moc Chrystusa,

Nie trwożmy się niczem.

Bądźmy gotowi cierpieć nietylko od y ch—ale i od swoich.

I od najbliższych — i od tych co braćmi być by powinni, — i pomocnikami.

I od tych co ojcowskie powinniby mieć serca — i w walkach naszych nas krzepić, — i w łzach nas przygarnąć,— w znojach naszych nas pobłogosławić, — i w omyłkach naszych nas zrozumieć.

Bądźmy bracia i na te cierpienia gotowi,

Najboleśniejsze — najkrwawsze.

Cóż, że ucierpimy, — cóż, że łzy zaleją oczy nasze nieraz,

I smutek ściśnie serca.

Byle Chrystusa świat poznał.

Byle ducha Chrystusowego dać światu.

Byle On świat uszczęśliwił—

Modo Christo fruatur.

Bo szczęście świata—tryumfem jest Boga.

Ale myśmy opuścili — to co najważniejsze, i co nam Chrystus jako podstawę wszystkiego zalecił — gdy mówił:

„Szukajcie królestwa Bożego—i sprawiedliwości Jego — a reszta wszystko dodane wam będzie“.

Opuściliśmy troskę o szczęście świata, o to, by sprawiedliwość Boża zapanowała wśród ludzi,

A myśleliśmy najbardziej o tem, co mniej ważne—o formach i zewnętrznych przepisach—o rzeczach drugorzędnych—i setniorzędnych.

Jak faryzeusze — wówczas, za życia Chrystusa.

Bracia—powstańmy,
Ale wielcy duchem,
I wielcy miłością,
Niezłamani niczem,
I cierpieć gotowi, męczeństwo ciała,
i męczeństwo ducha i serca.